

ALMANACH KARPACKI

PÓŁROCZNIK
TOWARZYSTWA KARPACKIEGO



Wiosna

2014

Płaj to droga do wnętrza gór, do ich serca. Droga, którą od wieków kroczyły całe pokolenia zamieszkujących je ludzi, zamykając w jej kształcie sumę swoich doświadczeń. Można na niej odnaleźć oprócz śladów kierpców i racic, także ślady podkutych butów pierwszych turystów czy rzuconych tu przez kolejną wojnę żołnierzy. Droga, na której w sposób ukryty, czytelny tylko dla wtajemniczonych zapisana jest historia gór.

Chcemy, żeby i nasz **Płaj** stał się taką właśnie swoistą drogą wprowadzającą czytelnika w świat Karpat w przestrzeni i w czasie.



redakcja:
Paweł Luboński
Andrzej Wieloch

adres redakcji:
01-355 Warszawa
ul. W. Czumy 12 m. 18
tel. +48 696655965
www.karpaccy.pl
plaj@data.pl

wydawca:
Oficyna Wydawnicza
„Rewasz”
www.rewasz.com.pl

ISBN 978-83-85258-56-8
ISSN 1230-5898

nakład: 1000 egzemplarzy
oddano do druku 26.11.2014 r.

ZAWARTOŚĆ TOMU

Wschodniokarpackie wiersze Wojciecha Leopolda	5, 33-34, 47-48, 62-64, 84-86, 104, 122-124, 137-138, 149-150, 170-172, 185-186, 190-192
<i>Gasnący ślad. O zapomnianej malarce polskiej z Czerniowiec</i>	9 T. Trajdos
W Karpatach Wschodnich panna na rowerze	35 J. A. Choroszy
O Iwanie Kikinczuku, jednym z ostatnich huculskich zielarzy...	49 A. Ruszczak
Byłem tam nie tylko w dzieciństwie. Wspomnienia z Szybenego...	65 A. Perepeczko
Skit św. Andrzeja Apostoła w Łuzkach koło Osmołody	87 L. Rymarowicz
Wołosate raz jeszcze	105 L. Rymarowicz
Jarmark w Lutowskich	125 S. Parfanowycz
Wielkie cesarskie manewry w okolicy Przetęczy Dukielskiej w roku 1911	139 J. Kubit
Granica polsko-rumuńska	151 A. Ziemęcki
Karpacka kampania mojego dziadka	173 M. Bernacka
Miscellanea	187
Wkładki barwne	I-VIII IX-XVI



ANDRZEJ PEREPECZKO

Byłem tam nie tylko w dzieciństwie...

Wspomnienia z Szybenego i Jasienowa Górnego z lat 1939 i 1942–1943

Andrzej Perepeczko urodził się 5 czerwca 1930 r. we Lwowie. Po wojnie ukończył Liceum Budowy Okrętów w Gdańsku, a następnie Wydział Mechaniczny Szkoły Morskiej w Gdyni. Od roku 1948 rozpoczął pracę na polskich statkach morskich, począwszy od praktykanta, przez palacza i motorzystę do asystenta maszynowego. Pływanie po morzach całego świata przerwało mu w 1953 r. wcielenie do wojska, a konkretnie do Batalionu Pracy stacjonującego w Oświęcimiu, i skierowanie do przymusowej pracy w kopalni węgla kamiennego. Po wyjściu z wojska ukończył Politechnikę Gdańską, pracował w stoczni, był wykładowcą w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni, gdzie awansował do stanowiska profesora i dziekana Wydziału Mechanicznego, pływał na polskich i zagranicznych statkach, uzyskując dyplom oficera mechanika I klasy. Już na emeryturze obronił pracę doktorską z zakresu historii na Uniwersytecie Gdańskim. Jest autorem lub współautorem kilkudziesięciu książek i wielu artykułów. Są to powieści dla dorosłych i dzieci, podręczniki i skrypty akademickie, prace z dziedziny historii wojen na morzu, wspomnienia. Obecnie opracowuje pamiętniki.

Urodziłem się we Lwowie, w jednym z najładniejszych miast dawnej Polski, a na pewno w mieście najweselszym. Było to bardzo dawno temu, co widzę dokładnie każdego dnia w lustrze, niestety. Zresztą we Lwowie można było urodzić się jedynie bardzo dawno temu, bo teraz... eeech.

W jednej z pięknych lwowskich piosenek słyszymy. że

*gdybym się raz jeszcze narodzić miał znów
to tylko we Lwowie...*

A ponieważ w obecnej rzeczywistości nie jest to dobre miejsce do narodzin, więc... staram się żyć jak najdłużej — co mi się jak na razie udaje.

Mój ojciec, zresztą urodzony blisko gór Kaukazu, był w momencie moich urodzin porucznikiem 6. dyonu samochodowego we Lwowie, a w 1935 roku przeniesiony został do Centrum Wyszkożenia Broni Pancernej w Modlinie,

gdzie rok później rozpocząłem swoje długoletnie „studia” w szkole — bodajże — Rodziny Wojskowej, imienia — chyba — Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Jakoś sobie nie przypominam, żebym gdzieś wyjeżdżał w czasie pierwszych czy drugich wakacji i dopiero w 1939 roku, po ukończeniu trzeciej klasy szkoły powszechnej przeżyłem bardzo dla mnie piękne i ciekawe wakacje.

Moje pierwsze i... niestety jedyne wakacje, bo potem, do ukończenia kolejnych szkół, aż do dyplomu magistra inżyniera — żadnych wakacji nie miałem.

Ale... nie odciągajcie mnie od tematu.

* * *

Ostatnie przedwojenne i ostatnie wakacje mego szczęśliwego dzieciństwa zapowiadały się bardzo ciekawie. Mieliśmy bowiem pojechać na południowy kraniec Polski, na dość egzotyczną dla mnie Huculszczyznę. Mój wujek, Franciszek Watzek, mąż mojej matki chrzestnej, cioci Mysi, siostry Mamy, był zarządcą lasów hrabiego Baworowskiego, obejmujących kilkadziesiąt tysięcy hektarów w leśnictwach Jasienów Górny, Żelene i Szybene. Te dwie pierwsze miejscowości leżały nad Czeremoszem, górską, wartką rzeką, malowniczo przebijającą się przez pasmo górskie Czarnohory.

Wyprawa to była daleka, przez Lwów, gdzie dosiadła się do nas babcia Terenia, już od dwu lat wdowa, a następnie pociągami przez piękne miejscowości Delatyn, Jaremcze, dolinę Prutu do Worochty. Tam była końcowa stacja kolejowa i mniej więcej koniec cywilizowanego świata z elektrycznością, kanalizacją itp.

Na stacji czekała na nas bryczka zaprzężona w dwa wypielęgnowane konie. Powoził furman Iwan, Hucuł oczywiście, ubrany po huculsku, w lnianej koszuli bogato haftowanej na rękawach, kołnierzyku i całym przedzie. Na głowie miał okrągły kapelusz, zupełnie jednak innego kształtu niż nasze góralskie. Na biodrach skórzany, szeroki, zdobiony pas. Wełniane, ciemnobrązowe spodnie i sporządzone z jednego kawałka skóry pantofle, zwane „postołami”, dopełniały całości stroju.

Zapomniałem dodać, że mimo czerwcowego upału Iwan miał na sobie... kożuszek bez rękawów, założony włosom na wierzch.

Droga z Worochty wiodła brzegiem potoku, potem wspięła się na jakąś przełęcz i po kilku godzinach dotarliśmy do doliny Czeremoszu. Po lewej stronie zostało Żabie, ponoć podówczas najdłuższa wieś w Polsce, ciągnąca się wraz z przysiółkami takimi jak Krzyworównia, Krasnoila i Żelene przez kilkadziesiąt kilometrów, i konie ruszyły w górę Czeremoszu, wąską i krętą, ale utwardzoną drogą. Po dalszych kilkunastu kilometrach skrzyliśmy w prawo w miejscu, gdzie do Czeremoszu wpadał potok Szybenka. Nieopodal ujścia



Ujście Szybenego do Czarnego Czeremoszu. Z wakacyjnych pamiątek Wandy Ścigaj

potoku do rzeki stała strażnica Korpusu Ochrony Pogranicza, ostatnia chyba ostoja władzy państwowej w tym zakątku Rzeczypospolitej.

Nad Szybenką znajdowała się gajówka, w której królowała żona gajowego, pani Magda Miazgowa. Małżeństwo Miazgów przywędrowało na Huculszczyznę aż z puszczy kurpiowskiej, a gajowy, potężne chłopisko w sile wieku, umiał jakoś poradzić sobie i dogadać się z robotnikami leśnymi, oczywiście Hucułami, których jedynym językiem była góralska gwara ukraińska.

Pani Magda gospodynią okazała się znakomitą i prowadziła gospodarstwo żelazną ręką. Pod jej całkowitym panowaniem znajdowały się dziewczyny obsługujące letników, parobek Dmytro, a nawet sam gajowy Miazga, który odzywał się z rzadka i chyba w domu niewiele miał do powiedzenia. Podejrzewam po wielu latach, że Miazga najlepiej i najpewniej czuł się w lesie.

Czas w Szybenem upływał nam w beztroskim *dolce far niente*, pani Magda Miazgowa bowiem dawała dziennie aż pięć smakowitych i obfitych posiłków (pierwsze i drugie śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacja) — tak że czasu między nimi było niewiele. Mimo to udało się popełnić kilka wycieczek: pieszo do nieodległej klauzy Szybene, czyli spiętrzenia potoku, który tworzył między górami piękne rozlewisko. W jego gładzi wodnej odbijały się jak w lustrze zbocza porośnięte strzelistymi świerkami. Woda z klauzy spadała srebrzystą kaskadą przez górną krawędź solidnych wrót, zbudowanych z potężnych pni.



Klauza Szybene. Z wakacyjnych pamiątek Wandy Ścigaj

Otwierało się te wrota w czas spływu tratw, z huculską zwanych darabami. Czekały one na głazach Szybenki na wielką wodę z klauzy, która porывała je do Czeremoszu i dalej rzeką do nadbrzeżnych tartaków, a nieraz i do samego Morza Czarnego, skąd huculscy flisacy wracali, wioząc morskie muszelki, które służyły do ozdoby. W owej Szybence była wielka obfitość pstrągów, które pan Miazga łowił i wędził, a ja do dziś pamiętam wspinały smak ryb przesiąkniętych dymem kompozycji drzew użytych do wędzenia, której to tajemnicy pan Miazga strzegł pieczołowicie.

Pamiętam też wycieczkę na górę o nazwie Stóg, lub po huculsku Stoh, gdzie zbiegały się granice trzech państw: Polski, Rumunii... i no właśnie, do niedawna trzecim państwem była Czecho-Słowacja, teraz jednak ziemie Rusi Zakarpackiej znalazły się we władaniu Węgier, co okazało się zbawienne dla całej rzeszy Polaków we wrześniu 1939 roku i nieco później. A w szczególności dla wielu oddziałów polskiego wojska, w tym podległych ówczesnemu pułkownikowi, a później generałowi Stanisławowi Maczkowi.

Na owym Stogu spotkaliśmy grupkę węgierskich studentów, którzy pieczołowicie obtłukiwali na szczytowym słupie granicznym wykutego w kamieniu czeskiego lwa. Gdy nadeszła nasza grupka, natychmiast zabrzmiały radosne okrzyki, które pewno znaczyły, że „Polak — Węgier, dwa bratanki”.

W owym gorącym sierpniu 1939 roku nie spodziewałem się, że zaledwie w niespełna trzy lata później znajdę się... pod okupacją węgierską, która zresztą (jeżeli wypada użyć takiego określenia) była okupacją bardzo sympatyczną.

Inna wycieczka — tym razem konna, na małych i wielce wytrzymałych górskich konikach huculskich, zawiodła mnie na szczyt Pop Iwana, gdzie niedawno zakończono budowę obserwatorium astronomicznego, jeszcze inna zaś w górę Czeremoszu do źródła siarczanego Burkut, którą to wodę bodajże butelkowano i sprzedawano do celów leczniczych. Na co owa burkucka woda miała pomagać, nie pomnę, a zresztą nie wiadomo, czy w ogóle pomagała, pamiętam jedynie, że pachniała nieświeżymi jajkami.



Turyści przy tripleksie na Stohu (ze zbiorów NAC)

* * *

Wakacje były wspaniałe, pogoda przepiękna i w powietrzu nie czuło się niczego groźnego, żadnej zbliżającej się wojny, która była przecież tuż, tuż. Pod koniec sierpnia do samotnej gajówki (która była oddalona od najbliższej stacji kolejowej o 60 km) przyjechał na kilka dni mój Ojciec, kapitan broni pancерnej stacjonujący w Modlinie, gdzie mieszkaliśmy po wyjeździe ze Lwowa. Był w mundurze i jakby nieco mniej wesoły niż zazwyczaj. Po trzech zaledwie dniach, 25 sierpnia, w leśniczówce pojawił się żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza z najbliższej placówki, odległej o pięć kilometrów, i zameldował się Ojcu.

— Panie kapitanie, melduję posłusznie, że przyszedł pilny telefonogram do pana kapitana — podał zalakowaną kopertę.

Ojciec rozdarł ją niecierpliwie, wyjął papierek, przeczytał i — jak pamiętam — zbladł.

— Zaczekajcie — powiedział do żołnierza — zaprowadźcie mnie do placówki.

— Tak jest, panie kapitanie.

Czułem, że stało się coś ważnego. Ojciec najpierw poszedł do Mamy, która rozplakała się, a potem zaczęła szybko pakować rzeczy, następnie odszedł

z żołnierzem, chyba do telefonu. Po kilku godzinach zjawiła się w leśniczówce Szybene bryczka zaprzęzona w dwa konie, wezwana z leśniczówki Zetene, i ruszyliśmy w drogę do domu.

W Żabiu-Ilci czekała na nas druga para koni, przysłana przez Wujka, który mieszkał nieopodal, w nadleśnictwie Jasienów Górny, i po kilku godzinach dalszej jazdy dotarliśmy do Worochty, skąd pociąg powiózł nas przez Lwów do Warszawy.

W pociągu pełno było młodych ludzi, którzy zachowywali się dość hałaśliwie i śpiewali różne wojskowe piosenki. Teraz już się coś czuło w powietrzu, a wśród licznych pasażerów pociągu panowała napięta atmosfera, ale była ona — jak pamiętam — o dziwo, radosna i optymistyczna. Na mijanych stacjach w Delatynie, Nadwórnej i innych miejscowościach lotniskowych wszędzie było dużo obładowanych walizkami ludzi, którzy spoceni i rozgorączkowani szturmowali coraz pełniejsze wagony.

Od tego spieszącego się tłumu zdecydowanie odbijały grupki starszych ortodoksyjnych Żydów, „starozakonnych” — jak się wówczas ich nazywało. Szabas — była to bowiem, jak pamiętam, sobota — nie pozwalał im podróżować. Stali więc grupkami, pejsaci, w długich czarnych chałatach i w olbrzymich — mimo upału kończącego się dnia — lisiurach na głowach, patrząc bezgłośnie na kłębiący się wokół nich tłum. Jakby trochę nieobecni, całkiem niedzisiejsi, pogodzeni z losem tysiącletnimi doświadczeniami pokoleń wiecznych tułaczy. Takimi ich zapamiętałem z peronów podkarpackich uzdrowisk w ostatnich dniach II Rzeczypospolitej. I nigdy już potem takich w Polsce nie widziałem.

Ale pamiętam też, jak jadąc tym samym pociągiem grupka młodzieńców w akademickich czapkach i z mieczykami w kłapach marynarek śpiewała głośno na każdej stacji na widok owych grup starych Żydów. O dziwo, po dziś dzień zapamiętałem słowa refrenu tej piosenki, który brzmiał:

*Wszyscy Żydzi na latarnie, na latarnie,
niech tam sobie giną marnie, giną marnie...*

I po dziś dzień jest mi wstyd za tamtych studentów z sierpnia trzydziestego dziewiątego, ale może — kto wie — niektórzy z nich w czasie Holokaustu pomagali przetrwać jakimś członkom tego narodu.

* * *

Od tamtych wakacji minęły trzy lata. Trzy dramatyczne, okrutne lata.

Czwartego września 1939 r. ewakuowano nas z twierdzy Modlin w okolicy Lubartowa. Mama chciała jechać dalej na wschód, do rodzinnego Lwowa, ale na szczęście do tego nie doszło. Na szczęście, bo jako rodzina oficera na pewno

poznałobyśmy „uroki” Syberii, Kamczatki, Kazachstanu czy innych fragmentów kraju, „gdzie jutro jest już dniem wczorajszym” — jak twierdził czeski komunista, pisarz Julian Fučík. Tym razem się udało, bo „wyzwolicielska” Armia Czerwona dotarła jedynie do miejscowości odległej od miejsca naszego czasowego pobytu o niecałe 20 kilometrów, a potem cofnęła się do linii Bugu, zgodnie z zawartym między obu agresorami porozumieniem.

Do Modlina nie mogliśmy wrócić, bo w twierdzy stacjonowały oddziały niemieckie. Przygarnięto nas u krewnych w Warszawie, gdzie kontynuowałem swoje podstawowe „studia” w *171 Ofentliche Polnische Volksschule*, jak widniało na szkolnej legitymacji.

Mieszkaliśmy w śródmieściu, koło Placu Zbawiciela, a gdy latem, na przykład roku 1941, w niedzielę wybieraliśmy się z Babcią czy to nad Wisłę, czy to do bieleńskiego lasu, tramwaj nr 14 (o ile pamiętam) jechał tranzytem przez getto. My udawaliśmy się na plażę, a za oknami tramwaju nieraz widziałem Żydów, dzieci czy starców leżących bez ruchu na chodnikach i nie wiedziałem, czy jeszcze żyją, czy są już „po drugiej stronie”. I wtedy przypominałem sobie ze wstydem słowa piosenki zasłyszane na peronach podkarpackich uzdrowisk w sierpniu 1939 roku.

Zwycięstwa niemieckie i szybki marsz pancernych kolumn w głąb ZSRR połączył część ziem przedwojennej Polski z Generalną Gubernią. Do czterech „dystryktów”, z jakich dotychczas składała się Gubernia, a mianowicie Warschau, Krakau, Lublin i Radom, doszedł piąty — Lemberg, czyli Lwów. Tym samym moje rodzinne miasto stało przede mną otworem. Tak oto Niemcy niejako mimowolnie i może nawet wbrew własnym intencjom dokonali scalenia skrawka ziem polskich.

Latem 1942 roku Babcia z Mamą uradziły, że po skończeniu szóstej klasy pojedą z Babcią do Cioci na Huculszczyznę. Główną przesłanką tej wyprawy była gwałtowana potrzeba odżywienia mnie. Bo też istotnie, przez ostatnie trzy wojenne lata wcale nie rosłem, a waga moja bez przerwy wynosiła — co dokładnie pamiętam — zaledwie 35 kilogramów. Jednym słowem, byłem wciąż mały i chudy mimo upływającego czasu i wciąż — mimo dwunastu prawie lat — wyglądałem raczej na dziewięciolatka.

Latem tedy 1942 roku, po ukończeniu przeze mnie z wynikiem pozytywnym szkoły powszechnej spakowaliśmy niewielkie walizki i ruszyłem z babcią Terenią najpierw do Lwowa, aby po kilkudniowym pobycie pojechać dalej w głąb Huculszczyzny.

Podróż pociągami w Generalnej Guberni nie była przedsięwzięciem prostym. Pociągów kursowało niewiele, jako że bezwzględne pierwszeństwo miały transporty wojskowe. Poza tym brakowało z nieznanym mi bliżej przyczyn

wielu bezpośrednich połączeń. I tak na przykład na prostej na pozór trasie z Warszawy do Lwowa czekały nas aż trzy przesiadki: pierwsza w Lublinie, druga w Rejowcu, a trzecia w Rawie Ruskiej.

Jakie były warunki jazdy, wiedzą tylko ci, którzy musieli wtedy podróżować. Wsiadało się nieraz przez okna, a w wagonach jakimś cudem mieściło się ze dwa razy więcej osób niż było to możliwe. A dodatkowo trzeba było wziąć pod uwagę, że każdy niemal pasażer ówczesny targał ze sobą spory bagaż i ja z Babcią stanowiliśmy pod tym względem wyjątek.

Wsiadaniu na Dworcu Wschodnim w Warszawie a potem w Lublinie i Rejowcu towarzyszyły formalne walki wśród pasażerów, klnących, wrzeszczących, rozpychających się łokciami i nogami, nie zważających ani na dzieci, ani na kobiety, ani na osoby starszego wieku. Jednym słowem — panowało totalne chamstwo i powszechna, wszechobecna, zdziczała agresja.

Ostatnia przesiadka miała miejsce w Rawie Ruskiej, czekający tam na pociąg pasażerowie w większości pięknie zaciągali z lwowska i wciąż było słuchać typowe „ta joj”. Z wielkim trudem udało nam się wepchnąć do któregoś z przedziałów (drzwi do każdego z nich prowadziły prosto z peronu, nie były to bowiem żadne pulmany z korytarzem) i staliśmy ściśnięci jak przysłowiowe sardynki w puszcze lub inne śledzie. Nie było już naprawdę miejsca na kogokolwiek, gdy więc zaczął się wpychać do środka jakiś dość okazały facet w średnim wieku, w dodatku z dużym tobołem na plecach, babcia Terenia zaoponowała energicznie.

— Jezusz Maria! Już nie ma więcej miejsca! Nikt się nie zmieści! — zawołała ze swym czeskim akcentem.

A na to facet tubalnym głosem:

— Mamunciu kochana, ta jak mamuncia wciongni powietrzy w płuca, to jeszcze trzy ludzi się zmieszczą!

Cały wagon ryknął na to gromkim śmiechem. Babcia Terenia istotnie „przedsięwzięcie” miała obfite. Facet z walizą oczywiście wlaźł, zrobiło się jeszcze ciasniej, choć wydawało się to absolutnie niemożliwe, a mimo to w przedziale zapanowała zupełnie inna, niemalże rodzinna atmosfera humoru i życzliwości, tak różna od panującej na poprzednich dwu stacjach przesiadkowych.

Nic dziwnego, przecież od Rawy Ruskiej, dawniej należącej bodajże do Żółkiewskich, do Lwowa — to kamieniem dorzucić. Ta co tu dużo gadać, po prostu ludzie byli tu inni i szluz.

Okupacyjny Lwów różnił się diametralnie od Warszawy. Po pierwsze, wcale nie był zniszczony, a okupacja sowiecka trwała na szczęście tylko niepełna dwa lata i rządy bolszewickie nie zdołały na razie całkowicie zniszczyć niepowtarzalnego piękna i uroku tego miasta, choć trzeba przyznać — dość dużo

w tym kierunku zrobiono. Po drugie, nie było — jak w pozostałych czterech dystryktach GG — policji „granatowej”, czyli przedwojennej, bo bolszewicy wszystkich powywozili lub wymordowali. Ich miejsce zajęła zorganizowana przez Niemców policja ukraińska, bodajże z „tryzubem” na czapkach. Po trzecie, w Warszawie widziało się tylko wojsko niemieckie, we Lwowie stacjonowali też żołnierze włoscy, węgierscy, rumuńscy, a widziałem nawet Kozaków w szerokoskrzydłych pelerynach i czapkach futrzanych z okrągłym, kolorowym denkiem, takich samych, jakich znałem z obrazów Kossaków. Po czwarte, ludzie byli zupełnie inni. Jacyś — mimo wojny i biedy — weseli i nawzajem sobie bardziej życzliwi.

Ale może mi się tak tylko wydawało?

W czasie tygodniowego pobytu u Babci we Lwowie chłonałem to miasto całym sobą, a przewodnikiem mi był starszy ode mnie chyba o dziesięć lat brat cioteczny, a także ukochany mój Stryj, a jednocześnie ojciec chrzestny, starszy brat Ojca, Władysław Perepeczko. Poznałem to moje rodzinne przecież miasto dość dokładnie i nie wiedziałem, że żegnam je na bardzo długo, a praktycznie na zawsze.

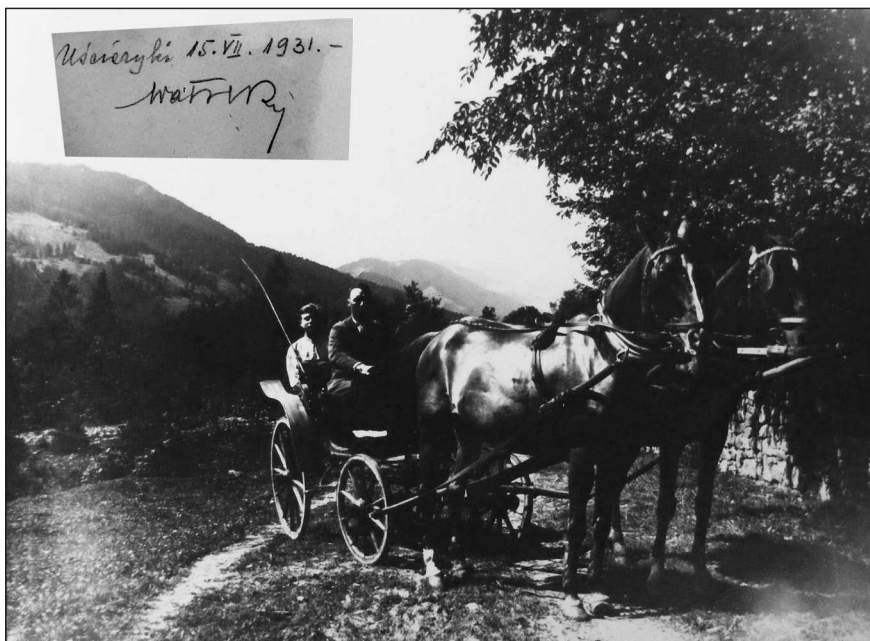
Żal, okrutnie żal, ale co zrobić?

* * *

Po krótkim pobycie we Lwowie ruszyliśmy z Babcią dalej. Przez Stanisławów do Kołomyi, gdzie czekał na nas wujek Nusiek, nadleśniczy z Jasienowa. Wujek przyjechał poprzedniego dnia do Kołomyi faetonikiem zaprzężonym w jednego konia, pięknie utrzymaną kłaczkę o imieniu Micusia. Do Jasienowa było kilkadziesiąt kilometrów. Od Kosowa Huculskiego droga wiodła przez góry i lasy, a dobrze wypasiona i wypoczęta Micusia rażąco biegła w kierunku swojej stajni.

I tak oto wracałem w okolice, które tak dobrze zapisały mi się w pamięci podczas ostatnich przedwojennych wakacji. Jakże jednak teraz zmieniła się sytuacja i ile się wydarzyło w ciągu tych trzech lat!

W Jasienowie praktycznie nie odczuwało się wojny, która szalała gdzieś bardzo daleko i była jakby nierealna. Ciocia Mysia prowadziła dzielnie niewielkie, ale zasobne gospodarstwo. Jedyna co prawda, ale rasowa krowa dawała dużo dobrego, tłustego mleka, którego wystarczało i do picia, i do śmietany, i do ręcznie robionego przez służącą Marijkę masła. Kury znosiły posłusznie jajka, w sadzie owocowały drzewa, chleb piekło się raz na tydzień w wielkim piecu w kuchni, a w piwnicy leżały jeszcze ubiegłoroczne zimowe jabłka i szeregi słoików z doskonałymi konfiturami. Nieopodal leśniczówki, stojącej na skraju wsi Jasienów Górny, płynął wartko Czeremosz obfitujący w pstragi, na porębie leśnej dojrzewały maliny i poziomki. Jednym słowem: idylla.



Franciszek Watzek na „wasążku” (zdjęcie z podpisem i datą ze zbiorów A. Perepeczki)

Ciocia dbała o mnie. Jadłem też niemal bez opamiętania, a całe dnie spędzałem na dworze w towarzystwie czarnego kundla o imieniu Murzyn, który stał się moim wiernym przyjacielem.

Gdy nadeszła jesień, Ciocia zarządziła, że każdego dnia mam poświęcić dwie do trzech godzin na naukę. Z Warszawy przywozłem parę książek z przedwojennej I klasy gimnazjalnej i moim zadaniem było samodzielne przerobienie obowiązującego materiału. Geografii i historii uczyłem się chętnie i z zapałem rysowałem na pergaminie rozmaite mapki i szkice bitew, nie przypuszczając, że po wielu latach przyjdzie mi rysować podobne mapki ilustrujące moje książki o pierwszej i drugiej wojnie światowej na morzu. W biologii pomagał mi trochę wujek Nusiek, inżynier leśnik z wykształcenia i zamiłowania. Ciocia, bardzo czytana, kierowała moją znajomością polskiej literatury. Babcia Terenia natomiast uczyła mnie niemieckiego. Do nauki tego ostatniego przekonał mnie Wujek mówiąc, że język wroga należy znać.

Sam Wujek znał doskonale niemiecki, w czasie I wojny światowej bowiem służył jako oficer w armii austro-węgierskiej i walczył z Włochami nad rzeką Isonzo w Dolomitach. Po ukraińsku mówił też swobodnie, jak rodowity Hu-

cuł, a ze szkoły i może z domu znał nieźle francuski. Opowiadał mi nieraz jesiennymi wieczorami przy lampie naftowej o swoich przygodach i o wojnie na włoskim froncie oraz o rozmaitych wypadkach ze swej umiłowanej pracy w karpackich lasach. Gdy w czasie jednego z takich gawędziarskich wieczorów spytałem Wujka, przypomniawszy moje przedwojenne i wojenne spotkania ze „starozakonnymi”, co się stało z Żydami na Huculszczyźnie, których kiedyś nie brakowało, odpowiedział:

— Żydów zlikwidowano bardzo szybko po wkroczeniu Niemców, a głównymi wykonawcami byli miejscowi, ukraińscy nacjonaści.

Wujek Nusiek urodził się... bagatela — w Argentynie, gdzie jego ojciec poszukiwał nafty na południowo-amerykańskich pampach, a studiował gdzieś w Austrii. Był to człowiek już niemłody, towarzyski i energiczny, a że Wujostwo nie mieli dzieci, więc czułem się tam niezwykle dobrze i traktowano mnie jak syna. Wujek kochał przyrodę, zarówno florę, jak i faunę, i znał wiele leśnych sekretów. On to wtajemniczał mnie w niepojęte wędrówki pstrągów, łososi czy węgorzy do miejsc lęgowych, z nim też kiedyś podglądałem rykowisko jeleni, a w zimie wielce oryginalny „taniec” wydr na lodzie zamrożonego jeziora.

W zimie, gdy spadły śniegi, raz w tygodniu Wujek jeździł sankami do odległego o około 10 kilometrów Żabiego. (...) W Żabiu mieszkali państwo Potuliccy i właśnie pani Potulickiej zawdzięczam zupełnie znośną znajomość języka łacińskiego i niezwykle uporządkowanych reguł jego gramatyki.

Życie w Jasienowie nie było jednak całkowicie radosne, miałem bowiem świadomość, że na świecie jest wojna i że gdzieś tam w tej wojnie uczestniczy także mój Ojciec. W międzyczasie bowiem nadszedł krótki list z Portugalii, w którym Ojciec donosił, że jest „w gościnie u Cioci Ani”. Jak się po wojnie okazało, przewędrował latem 1940 roku przez Francję aż pod Bordeaux, stamtąd ewakuował się na „Wyspę Ostatniej Nadziei” i wylądował w 1 Dywizji Pancernej generała Maczka w Szkocji.

Z Ojcem było tak. W dniu 17 września znajdował się wraz z całym oddziałem aż w Tarnopolu. Na szczęście na noc zatrzymał się sam w jakimś klasztorze, a nie razem z pozostałymi. Gdy zatem rankiem wpadł do jego kwatery adiutant i zameldował: „Panie kapitanie, bolszewicy wkroczyli do Polski”, Ojciec nie czekał już na nic i błyskawicznie podjął decyzję, która uratowała mu życie. Znał bowiem doskonale bolszewików z lat rewolucji i z wojny 1920 roku i wiedział, że z tej strony ani Polski, ani jego osobiście nie może spotkać nic dobrego. Wskoczył więc na służbowy motocykl z przyczepką, marki bodajże „Sokół”, do kosza załadował dwa kanistry benzyny, na siodło wsadził adiutanta i pomknął do Jasienowa nad Czeremosz, gdzie mieszkała (...) siostra mojej Mamy z mężem, czyli moi Wujostwo.

W Jasienowie zostawił sporą sumę pieniędzy, w połowie września wypłacono bowiem każdemu z oficerów kwartalną lub półroczną pensję — o wiele niestety za późno, bo Mama została praktycznie z niewielką kwotą, a te pieniądze zmarnowały się — i pomknął do granicy rumuńskiej. Jak mi po latach opowiadał, Ukraińcy w mijanych wsiach próbowali go zatrzymać, ale nie z moim Ojcem takie numery. Ubrany był w czarny półplaszcz skórzany, na głowie miał beret, który obrócił orzełkiem do tyłu, a że doskonale znał rosyjski, w jednej wiosce obrzucał próbujących go zatrzymać piętrowymi przekleństwami w tym języku, a w innej adiutant, który przesiadł się do kosza, przyczepiając ostatni już kanister do siodła, z zamocowanego tam erkaemu puszczał w powietrze krótką, ostrzegawczą serię. Podczas opowiadań mojego Ojca skojarzyło mi się to z wyprawą Zagłoby po Helenę, kiedy to imć pan Zagłoba jednym pokazywał piernacz, innych zaś — nie zsiadając z konia — kopał w twarz, a chłopci mówili między sobą: „Bije, znaczy Pan!”. Granica rumuńska była już zamknięta dla uchodźców z Polski, wobec czego Ojciec zawrócił i popędził do węgierskiej. Na Przełęczy Tatarskiej dopadł wycofujące się oddziały wówczas pułkownika, a później sławnego generała Maczka, z którym przetrwał całą kampanię francuską, ewakuację morzem do Anglii, Szkocję i udział w inwazji w ramach 1 Dywizji Pancерnej.

Mój wujek Franciszek Watzek mieszkał z żoną w letnim domu hrabiostwa Baworowskich, który pełnił także rolę siedziby Zarządu Lasów. Ten dom stał na skraju Jasienowa, po prawej stronie drogi wiodącej przez przełęcz Bukowiec w kierunku Kosowa. Obok była poczta.

W przedwojennych dobrach Baworowskich w Jasienowie było dziewięciu gajowych Huculów i podobnie w czasie okupacji niemieckiej. Nazwiska niektórych z nich: Maksymiuk, Płytko (miał dwie ładne córki), Dmytro Melnychuk, Iwan Cwyłyniuk, Iwan Kumłyk (przedwojenny ułan).

Wojna docierała do Jasienowa głównie poprzez lekturę gazety, dostarczanej codziennie przez pocztę. Była to bodajże „Gazeta Lwowska”, pismo oczywiście cenzurowane przez Niemców, jednakże były to jedyne dostępne informacje, a ja nauczyłem się już czytać „między wierszami”. Oczywiście przywoziłem ze sobą mapę Europy i wbijałem w nią szpilki z chorągiewkami. W listopadzie 1942 roku musiałem dorysować mapę północnej Afryki i sporządzić sporo chorągiewek z amerykańskimi flagami, dowiedziałem się bowiem o walkach w Maroku, Algierze, a później w Libii i Tunisie. Potem nadeszły starannie ocenzurowane informacje o desancie sprzymierzonych na Sycylii i toczonych tam walkach. Dobięły mnie też echa stalingradzkiej klęski, która stała się przełomem w toczącej się wojnie na wschodnim froncie.

To były wiadomości pocieszające. Ale też w tym mniej więcej okresie w „Gazecie Lwowskiej” ukazała się tragiczna wiadomość o odkryciu zbrodni katyńskiej, a potem ukazywały się listy ekshumowanych pomordowanych polskich oficerów, wśród których znalazłem kilka znajomych mi nazwisk, jak na przykład kpt. Feinera, który mieszkał wraz z rodziną w naszym sąsiedztwie w Modlinie, a jego żona, pani Lida, była przyjaciółką mojej Mamy. Od pierwszych informacji o Katyniu zarówno ja, jak i cała rodzina byliśmy święcie przekonani, że zbrodnia ta jest dziełem Sowietów. (...)

Z upływem czasu stawało się na Huculszczyźnie coraz mniej spokojnie i zaciśnię. Front powoli, ale nieustannie zbliżał się ze wschodu i ludzie, którzy przeżyli pierwszą sowiecką okupację, wcale nie wydawali się tym faktem ucieszeni. Była to typowa sytuacja pod tytułem: „i tak źle, i tak niedobrze”. Co prawda przegrywał jeden wróg, okrutny okupant, ale ten, co zaczął wygrywać, przy wydatnej zresztą pomocy zachodnich aliantów i dzięki śmiertelnym wysiłkom marynarzy handlowej i wojennej floty w północnych konwojach murmańskich, też wcale nie był lepszy.

— Obaj są po jednych pieniądzech — zawyrokowała w tej sytuacji babcia Terenia, znana z wielu celnych powiedzonek. I miała rację. (...)

W tym mniej więcej okresie zaczęły się na dawnych polskich Kresach Wschodnich, początkowo na Wołyniu, a potem znacznie bliżej gór, morderstwa popełniane na Polakach przez nacjonalistów ukraińskich. Wschodnie ziemie Rzeczypospolitej w przenośni i dosłownie zaczęły się nam palić pod nogami.

Latem 1943 roku zwałił się pewnego dnia do Jasienowa mały oddziałek Niemców wiodących ze sobą stadninę koni, głównie klaczy. Żołnierze należeli do jednej z dywizji SS, co było można poznać po trupich czaszkach na czap-



Maria z Tabęckich Watzek, ciotka autora,
na tle leśniczówki hr. Baworowskich
w Jasienowie, ok. 1943 r.
(ze zbiorów A. Perepeczki)

kach i podwójnych błyskawicach na kołnierzach mundurów. I — o ile się nie mylę — była to jakaś dywizja strzelców górskich, choć tego nie jestem zbyt pewien. Konie za to na pewno należały do górskiej rasy huculskiej. Stadnina ta wędrowała na letni wypas na połoninę, a kilkusobowa eskorta to byli rekonwalescenci, którzy raczej nie nadawali się do pierwszej linii. Każdemu z nich czegoś brakowało. Jednemu kilku palców u jednej ręki, innemu wszystkich palców u obu nóg, które pozostały w śniegach rosyjskich stepów. Całkowicie zdrowy był jedynie ich dowódca, podoficer SS o nazwisku Treu. Przyjechał na huculskim ogierze, a u boku miał owczarka alzackiego, który wabił się Sultan.

Niemcy z końmi kwaterowali w naszej obszernej leśniczówce przez kilka dni, a jeden z żołnierzy, pochodzący z Bytomia, dobrze mówił po polsku. I od niego, wówczas zaledwie dwudziestodwuletniego, bo był z rocznika 1920, usłyszałem przerażającą opowieść, o której myślę aż po dzień dzisiejszy.

— Znasz *Tylogię* Sienkiewicza? — zapytał mnie niespodziewanie ów żołnierz.

— Znam — odparłem serdecznie zaskoczony.

— No to powiedz, co zrobił Podbipięta w Zbarażu?

— Jak to co? — oburzyłem się. — Ściął trzy głowy tureckie jednym ciosem miecza.

— Właśnie — ucieszył się żołnierz. — I ja też jestem taki Podbipięta.

— Jak to? — nie rozumiałem.

— Było to latem 41 roku. Pod Smoleńskiem wzięliśmy ileś tam tysięcy jeńców. Ja dostałem rozkaz odprowadzić do dowództwa trzech z nich. Byli to komisarze, naturalnie Żydzi. I gdy tak prowadziłem ich do przed sobą, przypomniał mi się Podbipięta i Zbaraż i pomyślałem sobie: „Zastrzelę ich trzech jednym strzałem z karabinu czy nie?”. Kazałem im się ustawić jeden blisko drugiego i tak iść trzymając ręce na ramionach poprzednika. Wtedy wycelowałem z karabinu i strzeliłem ostatniemu w tył głowy. I co powiesz na to, padli trupem trzech. Od jednej kuli! — zaśmiał się chępliwie.

A mnie wtedy ciarki przeszły po plecach. I do dziś myślę, że Henryk Sienkiewicz się w grobie obraca, pisząc to bowiem, na pewno nie przypuszczał, że podda komuś pomysł zbrodni.

Po paru dniach Niemcy poszli z końmi w góry na połoninę. Wrócił tylko Treu na ogierze z psem Sultanem. Pozostałych zabili w górach jacyś partyzanci. Może sowieccy, a może jakiś ukraiński oddziałek, który oprócz likwidacji Polaków czasem walczył też z Niemcami.

Jak już wspominałem, sytuacja na Huculszczyźnie stawała się coraz bardziej skomplikowana, delikatnie to określając. Ciocia chciała wyjeżdżać i zostawić całe gospodarstwo na łasce losu, Wujek jednak oponował, uważając, że je-

żeli żył w tych okolicach przeszło dwadzieścia lat w przyjaznych stosunkach zarówno z gajowymi, z których wszyscy byli Hucułami, jak i z całą okoliczną ludnością, a nawet z popem z Jasieniowa o nazwisku Bereziuk, to nikt mu nic złego nie zrobi.

* * *

Chyba jakoś dwa tygodnie po Niemcach zjawili się w Jasienowie... Węgrzy. Kilkunastu porządnie umundurowanych żołnierzy z oficerem. Oficer — człowiek w średnim wieku — wszedł do biura mego wujka i bardzo grzecznie, oczywiście wiedeńską niemczyzną, spytał, czy Wujek pozwoli zakwaterować żołnierzy razem z końmi w dużej stodole, obecnie prawie pustej.

— A dla mnie — dodał — byłbym bardzo wdzięczny, gdyby znalazło się jakieś łóżko.

Oczywiście znalazło się, a oficer spytał Cioci, czy pozwoli sobie ofiarować całkiem sporą torbę... kawy. Prawdziwej kawy! Lepszego prezentu zarówno dla Cioci, jak i przede wszystkim dla Babci nie mogło być.

Wieczorem Wujek długo siedział z Węgrem w saloniku, paląc bardzo eleganckie papierosy i pijąc jakieś węgierskie wino. Dokładnie nie rozumiałem o czym rozmawiali, ale zorientowałem się, że wspominają swoje przeżycia w służbie cesarsko-królewskiej armii, za czasów Franciszka Józefa. Żołnierze też byli bardzo sympatyczni, chociaż nie mogłem się z nimi dogadać. Ale tamte dwa tygodnie „węgierskiej okupacji” wspominam bardzo mile.

Tak więc na razie tkwiliśmy w Jasienowie i nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie stary gajowy, Dmytro Melnyczuk, który służył z Wujkiem w tym samym pułku austro-węgierskim walczącym nad Isonzo. Ów Melnyczuk przyszedł któregoś ranka do nadleśnictwa, siadł na ławce przed domem, a gdy Wujek wyszedł do niego, przerwał na moment palenie fajki i mruknął cicho po huculsku: „Ludy howorut, szo...” — dalszego ciągu nie dosłyszałem, a Melnyczuk po przekazaniu Wujkowi, co ludzie mówią na wsi, po chwili wrócił do pykania fajki.

Wujek Melnyczukowi wierzył jak rodzonemu bratu. Nie pytając o nic więcej, rozkazał Cioci i Babci pakować co ważniejsze rzeczy i jeszcze tego samego dnia wyjechaliśmy z Jasienowa okazyjną ciężarówką z *Forstaufsichtamtu* z Kółomyi. Ciężarówka ta była na tak zwany *Holzgas*, a paliwem były niewielkie klocki twardego drewna. Nie rozumiałem wówczas, jak to się działo, ale samochód jakoś jechał.

Muszę się przyznać, że bałem się po drodze. Bałem się Ukraińców, którzy zgłaszali się w tym czasie do dywizji SS „Galizien” czyli „Hałyczyna”, a którzy, jak sobie wyobrażałem, mieli dobrą zaprawę podczas okrutnej likwidacji Żydów, co było ćwiczeniem przed likwidacją „Lachiw”, czyli nas, Polaków.

I tak zakończył się kolejny etap w moim wojennym życiorysie. Wybiegając znacznie w przyszłość, dodam, że wujostwo nigdy już do Jasienowa nie wrócili, a ja odwiedziłem to miejsce dopiero po przeszło pięćdziesięciu latach. Dom leśniczówki jeszcze stał, choć dość mocno zmieniony, brakowało jednak wszystkich gospodarskich zabudowań, a z alei modrzewiowej zostało jedynie jedno potężne drzewo, które musiało już mieć co najmniej sto lat.

Z Kołomyi pojechałem z Babcią via Lwów, gdzie zabawiliśmy tylko tyle, ile było potrzeba do uzyskania zezwolenia na jazdę do Warszawy. Dzięki babcinej wiedeńskiej Niemczyźnie starszy wiekiem porucznik w komendanturze dworcowej wydał nam niemal błyskawicznie owo zezwolenie i bilet — bagatela — pierwszej klasy w pociągu urlopowym dla wyższych oficerów.

Pociąg jechał do Krakowa, oficerowie byli bardzo szarmanccy wobec mojej Babci, a ja przerażony modliłem się w duchu, aby partyzantom nie przyszło do głowy wysadzić w powietrze ten właśnie pociąg, bo zginałbym w charakterze... Niemca. I odetchnąłem z ulgą dopiero, gdy włąziłem przez okno pociągu Kraków–Warszawa na krakowskim dworcu.

Do Warszawy dotarliśmy w czasie, gdy płonęło getto w trakcie beznadziejnego, tragicznego, ale jednak bohaterskiego powstania.

Posłowie

Moja pierwsza rozmowa telefoniczna z Panem Andrzejem rozpoczęła się bardzo niefortunnie. Naszpikowany internetową wiedzą o rodzinnych koneksjach Autora i mając podświadomy chyba obraz Janosika gdzieś nad Szybenką czy Czarnym Czeremoszem, rozpocząłem od pytania: „Czy rozmawiam z panem Markiem Perepeczko?”. Rozmówca odparł, że z Perepeczko, ale niestety nie z Markiem, którego już od kilku ładnych lat nie ma wśród żyjących. Po takiej wpadce nie spodziewałem się oczywiście zbyt dobrego przyjęcia. A stało się inaczej. Pan Andrzej zażartował, że ciągle spotyka się z takim lapsusem, ale on się nie obraża, bo sam jest dumny z ze swojego kuzyna, którego jako Janosika zna chyba każdy Polak. I w którego domu spędził w Warszawie część swojego dzieciństwa. Pan Andrzej zaś, jako typowy lwowiak z Gdańska, okazał się rozmówcą niesłychanie sympatycznym. Nie dość że wszystko, co chciałem wiedzieć, sumiennie i z prawdziwą werwą mi opowiedział, to w parę dni potem — chociaż nie śmiałybym o to prosić — przesłał pocztą rękopis wspomnień z Huculszczyzny. Te kilkanaście stron czyta się doskonale, coś jakby fragment *Trylogii* Sienkiewicza, której — jak nietrudno się przekonać chociażby z samego tekstu wspomnień — Pan Andrzej musi być prawdziwym fanem.

Wspomnienia stanowią zamkniętą, odrębną całość i uznałem, że byłoby barbarzyństwem opatrywanie ich wyjaśnieniami czy przypisami. Ale... w „wieczornych Polaków rozmowach” Pan Andrzej opowiedział mi dużo więcej, niż napisał, i żeby się to nie zmarnowało, postanowiłem dodać co nieco poza tekstem wspomnień.

Przede wszystkim chciałem zwrócić uwagę Czytelników na wartość faktograficzną wspomnień. Występują w nich zdarzenia i postacie, o jakich nie sposób czegokolwiek się dowiedzieć z innych źródeł. Nieprawdopodobna jest pamięć Autora, jeżeli chodzi o nazwiska Huculów — gajowych dóbr Baworowskich z Jasienowa Górnego. Także postać nadleśniczego Franciszka Watzka wróciła z niebytu tylko dzięki pamięci Pana Andrzeja. Fragment ich własnej historii otrzymali dzięki temu także zaprzyjaźnieni z Towarzystwem Karpackim pracownicy Werchowińskiego Parku Narodowego, którego dyrekcja mieści się dokładnie w tym miejscu, w którym rozgrywa się akcja znacznej części wspomnień. Poszukiwali informacji o przedwojennych pracownikach leśnictwa fundacji hr. Baworowskich i dzięki Panu Andrzejowi ją od nas otrzymali. Zlokalizować można także miejsca, gdzie Autor spędzał ostatnie przedwojenne wakacje. Leśniczówka pana Miazgi stała dokładnie tam, gdzie obecnie stoi budynek leśnictwa, u ujścia potoku Pohorylec do Szybenki.

Na kilka zadanych przeze mnie pytań Autor udzielił odpowiedzi negatywnej. Na przykład nie przypomina sobie słynnej głowacy, chronionego i pokątnie odławianego w Czeremoszu rarytasu, aczkolwiek nieźrównany smak i zapach wędzonego przez leśniczego Miazgę pstrąga pamięta do dziś. Nie był też wewnątrz obserwatorium na Popie Iwanie. Zapamiętał natomiast jego kuriozalną nazwę „Szczyt Rozśpiewany”, co świadczy o tym, że akcja popularyzatorska tego pomysłu była bardzo skuteczna.

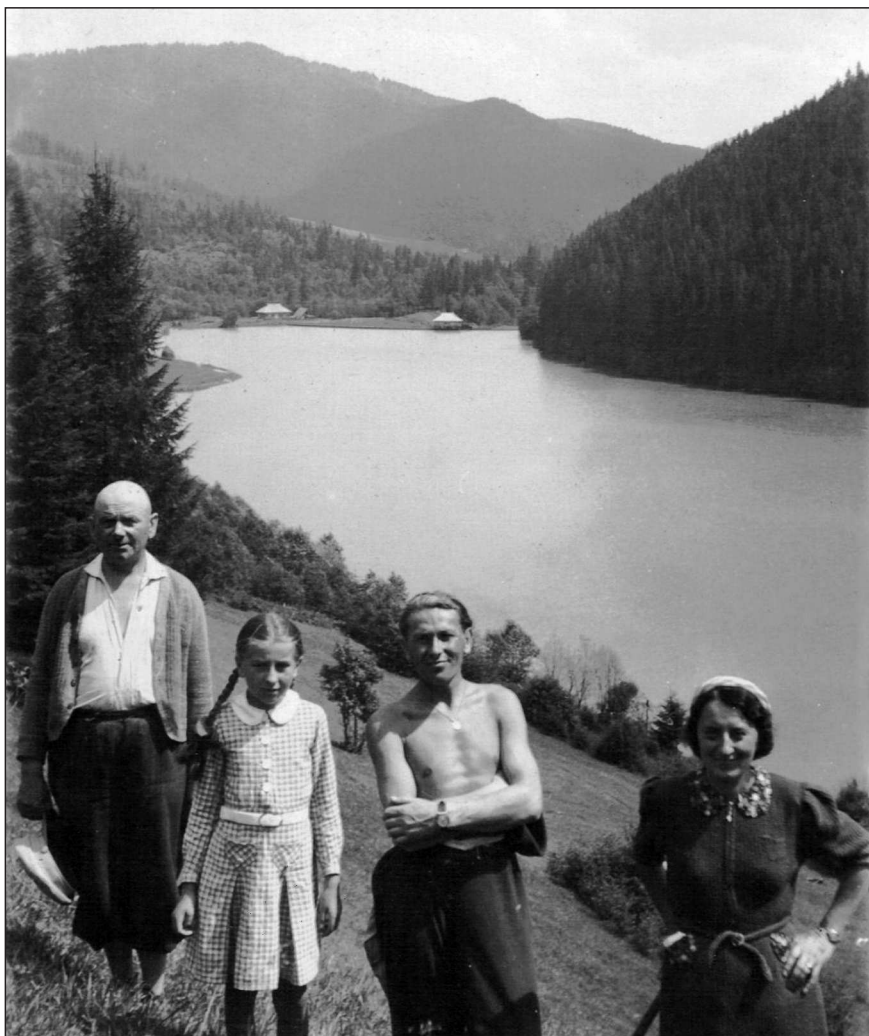
Gajowy Miazga, u którego gościł Pan Andrzej w ostatnich dniach przed wojną, to postać autentyczna — i to jaka! „Łowiec” z 1939 r. donosił:

„Jednym strzałem trzy wilki. O niebywałym sukcesie gajowego donoszę P.T. Czytelnikom «Łowca». W lasach Marji hr. Baworowskiej na Huculczyźnie, powiat Kosów Huculski, w rewirze «Szybeny», miejscowy gajowy Miazga zastrzelił w leśsie walęsającego się psa i położył go jako przynętę na lisy. Wybrawszy się dnia 8 lutego b.r. o godzinie 6 rano na obchód lasu i znalazłszy się w pewnym miejscu na zakręcie ścieżki, spostrzegł nagle na małej enklawie wilka w miejscu, gdzie leżał zastrzelony pies, a tuż za tym wilkiem całe stadko wilków pożerających zastrzelonego psa. Nie tracąc zimnej krwi, strzelił gajowy w kupę uczujących



Andrzej Perepeczko

wilków loftkami na odległość około 25 metrów i ubił na miejscu dwa wilki, trzeciego zaś ciężko postrzelonego, który uszedł kilkadziesiąt kroków, dobił drugim strzałem śrutowym. Stado wilków przy zabitym psie liczyło 6 sztuk. Żabie, dnia 23 kwietnia 1939 r. K. A. Małczyński. Członek Powiatowej rady Łowieckiej w Kosowie Huculskim”.



Nad jeziorem Szybene. Z wakacyjnych pamiątek Wandy Ścigaj

Nie wiemy, jakie były dalsze losy rodziny Miazgów, Pan Andrzej słyszał, że syn gajowego Miazgi był jednym z „żołnierzy wyklętych” gdzieś w północnej Polsce.

Wrócili też z przeszłości państwo Potuliccy. Mój Boże — Pan Andrzej z pamięci wyrecytował po łacinie długi fragment Wergiliusza wyuczony w środku wojny nad Czeremoszem, pod okiem pani Potulickiej. Kim oni byli? Jakie były ich dalsze losy? Pan Andrzej pamięta, że już po wojnie spotkał gdzieś koło Gdańska syna Potulickich, który był bardzo podobny do ojca. Może uda się dotrzeć do ich potomków?

No i w tekście wspomnień Autor się tym nie chwali, ale pomimo upływu siedemdziesięciu lat od pobytu w Jasieniowie zupełnie swobodnie mówi po huculsku. Wiem, bo słyszałem!

Kilka zdań należy się na koniec Marii i Franciszkowi Watzkom. Po szczęśliwej ucieczce z Jasieniowa i pobycie w Kołomyi i Stanisławowie wyjechali na „ziemie odzyskane”. Zamieszkali początkowo w Gorzowie, a potem w Rabce. Franciszek Watzek tam również zajmował się ochroną lasu, zaś pani Maria Watzek pracowała jako nauczycielka w sanatorium dziecięcym. Oboje zmarli w odstępie kilkunastu lat, Franciszek w latach pięćdziesiątych, Maria w sześćdziesiątych. Franciszek Watzek został pochowany w Rabce (poszukiwania jego grobu okazały się jak na razie bezskuteczne), zaś Maria w Łodzi. Nie pozostawili po sobie potomków.

Opowieść Pana Andrzeja z ostatnich przedwojennych wakacji ilustrujemy fotografiami z tego samego czasu i tego samego miejsca, stanowiącymi także pamiątki z wakacji, ale pani Wandy Scigaj z Raciborza, która jako kilkunastoletnia dziewczynka Wandzia Smoniowska przez kilka kolejnych lat spędzała wakacyjne miesiące w Szybenem Jaworniku, u swojego wuja Franciszka Marcinowskiego, ówczesnego leśniczego Lasów Państwowych. Panią Wandę wojna zastała właśnie w Jaworniku, gdzie spędziła prawie cały pamiętny wrzesień. Pamięta doskonale klimat tamtych dni, zapamiętała do dziś niektóre obrazy, jak np. dwa samochody z młodymi polskimi lotnikami wjeżdżające zakurzoną drogą w dolinie Szybenki gdzieś w kierunku Węgier i na górskiej drodze porzucone, żołnierzy pijących zachłannie wodę i goszczonych pośpiesznie w mleczarni Tobiaszów w Jaworniku (bo „Sowieci zaraz tu będą”), nędznie umundurowanych krasnoarmiejców („ach, co to byli za oberwańcy” — dziwi się do dzisiaj pani Wanda). Mamy więc i widok wsi Szybene, i pamiątkowe ujęcia znad jeziora Szybenego, i obserwatorium na Pop Iwanie. Interesującą opowieść Pani Wandy o Szybenem z lat 30. obiecuję zamieścić w kolejnym numerze „Płaju”.

Panie Andrzeju. Dziękujemy. I sto lat!

Leszek Rymarowicz